

— O, mamie, to już najmniej.
— Proszę cię, nie mów nikomu o tym bukiecie.

— Dobrze, a dlaczego chcesz ukryć?
— On taki narzucający się, mógłby kto pomyśleć, że jego umizgi robią mi przyjemność, — spojrzała mimowoli na pana Borowieckiego.

Ryta poszła za jej oczyma, zarumieniała się ledwie widocznie, bacznie przyjrzała się pani Wandzie i cicho westchnęła.

Skończył się śpiew. Pani Wanda na równi z innymi oklaskiwała śpiewaka.

— Podobał się panu śpiew? — spytała Ryta pana Borowieckiego.

— Tak jest... może nie w tym stopniu, jak pani Jerzyckiej, — uśmiechnął się, — ale i melodya i słowa są ładne.

— Bardzo lubię Asnyka, — powiedziała pani Wanda spokojnie, — a dzisiaj, patrząc na zachmurzone Tatry, chciałam sobie przypomnieć jego wiersze... nie umiem ich powtórzyć, ale pamiętam, że są piękne.

— Mogę pamięci pani dopomódz, zdaje mi się, że myślała pani o słowach:

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędził

— Tak jest, — uśmiechnęła się ucieszona, — właśnie o tym wierszu mówiłam. Ale że pan odgadł!

— Nic łatwiejszego. Znam cykl poezji jego „w Tatrach“, a oczy pani i moje widziały dziś szarugę tatrzańską.

I naprawdę zgodność ta była zwykłym wnioskowaniem, ale pani Wanda uważała ją za bardzo subtelny i pomyślała, że ani pan Jedliński, a tem bardziej jej mąż nie byłiby zdolni do tej wspólności wrażeń.

Przyszła pan Maniecki i rzekł z delikatnym uśmiechem:

— Kącik ten budzi takie ogólne zainteresowanie... zwłaszcza pań, że chciałbym im zdać relację, jak się bawicie.

— Podobnie jak wszyscy, słuchamy koncertu, — odpowiedziała swobodnie pani Wanda.

— O nie! Najprzód siedzi tu podróżnik z nieznanego kraju, — uśmiechnął się, — i do pani jak muchy do miodu, ciągną wszystkie znakomitości dzisiejszego wieczoru. Był już pan Orlecki, oto idzie znów pan Jedliński... pewno, ażeby się naradzić z panią co do dalszego programu.

— Ze mną? — zdziwiła się.

— Tak jest... Pani Porecka chwali pomysłowość pani i opowiada, że tylko pani zawdzięczamy takie urozmaicenie programu.

— Pani Porecka jest wogóle zbyt łaskawa na mnie, — zarumieniała się oburzona, bo zrozumiała ukrytą strzałę.

— A więc to pani pomysł? — spytał z miną obojętną pan Borowiecki.

— O tyle mój, że prosiłam pana Jedlińskiego, ażeby smutny dzień dzisiejszy urozmaicił muzyką.

— Skromność przemawia przez panią, chwalebna skromność fiołka, — zaśmiał się pan Maniecki, — zaraz dowiemy się isotnego stanu rzeczy... żeby tylko ten poeta uwolnił pana Jedlińskiego, — wskazał oczyma na rozmawiających na środku salonu, — a jemu spieszo zapewne do pani.

Pan Jedliński szybko się zbliżył i rzekł wesoło:

— Nareszcie go uprosiłem... Nie chciał deklamować, bo uważa, że nastrój nie jest odpowiedni.

— Chciałem pana spytać, czy to panu zawdzięczamy miły ten wieczór? — przemówił pan Maniecki.

— Inicjatywa wyszła od pani Jerzyckiej... jestem tylko ślepym wykonawcą jej rozkazów, — skłonił się przed panią Wandą.

— Panie Jedliński, zależy mi na prawdzie, — prosiła pani Wanda, — czy ja układałam program? czy wiedziałam, co będzie?

— Pośrednio pani, bezpośrednio ja, gdyż pani była mojem natchnieniem.

Pani Łotuska wzięła kilka posępnych akordów na fortepianie. Uciszyło się w salonie. Boczne kinkiety pogasty. Na estradzie stanął pan Szarocki, odrzucił głową spadające mu na czoło długie, ciemne włosy, poprawił ledwie widoczny z pod krepowej krawatki kołnierzyk i powiódł okiem po sali. Odkasznął, dał znak pani Łotuskiej, ażeby zaczęła grać, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Znów odkrzęknął, wyprężył się, uśmiechnął, a chcąc pokryć swe zmieszanie, usiadł z brawurą na krześle, jak na koniu i zaczął drżącym, ponurym głosem:

Widziałem ją... w srebrzystej chlamidzie,
Wokół jej czoła jasne włosy promieniste,
W nich czarne róże... czarne róże i brylanty...
Łąka zielona, złote kwiecie irysów,
Pawie białe... szła cicha i powiewna...
Idzie, idzie, o smętница
Rozskrzydlone, srebrne lica
Ukazuje mi.



Siadł z brawurą na krześle jak na koniu.

Konik parsknął końcem głowy
Róża gnie swój róg...
Ona odeszła smutna, cichym krokiem lęku,
Gdzieś w głuche bezkresy rozszalałych nocy.
Czarnym kirem oplata mię jad trucizny,
Upiornej, krwawej tęsknoty. Przyzwałem burzę.

Umilkł, spuścił głowę, włosy zwiesiły się, a pani Łotuska zaczęła cicho grać marsz żałobny. Zbudził się, ręką odrzucił długie włosy i zaczął:

Uspione ciemność góry splonęło purpurą pożarną.
Roją się węże błyskawic... wiją się... syczą... splatają
Wierzchołka góry złocistą koronę. [dookoła
Razwraz krwawy piorun wstrzelił się rubinem w błyskawiczny kłęb
I zastygł w uskrzydłonych ognistych obęczach...
Góra chwieje się, dygoce... sypią się z niej skaliste zwalę
Jak krople rosy porannej, gdy wichr łodygą kwiatu zatarga...
Złomy, jak lachmany spadają z góry... obnażają ją.
Świecą, obmierzłe nagości... [śmiertelne...
Złote, bezwstydną, sprośne żebra szczerzą się zgnile,
Rdzawą, strutą posoką barwią je błyskawice rozszalałe.

Tu odetchnął, zrobił pauzę, pani Łotuska przestała grać, dopiero po chwili uderzyła w ton mniej ponury, a on wstał i deklamował:

To rozpętałem rozwściekłych żywiołów,
Tworzy uroczystą, skamieniałą ciszę...
Wstąpiłem na ciemną górę i zawolałem do niej radośnie:
Kocham cię!

Nie zważając na oklaski, zszedł z estrady i stanął dumnie wyprostowany obok pani Łotuskiej.

Pan Jedliński czuł się w obowiązku podziękowania mu i ściskając jego rękę, mówił:

— Poemat głęboki, nastrojowy i podniosły.
— Tak panie, ale niezrozumiały dla tłumu, — spojrzał lekceważąco na salę rozświetloną kinkietami, — patrz pan, z jaką lubością tarzają się w swych legowiskach.

— O, nie wszyscy! — zaprzeczył.

— Wiem... pani Łotuska, — skinął głową ku niej, — pan... a reszta, — zrobił lekceważący ruch ręką.

— Myli się pan... jestem pewny, że pani Jerzycka, panna Ryta i ten pan obok nich, umieli ocenić poemat pana, — powiedział przez zwykłą grzeczność, a może trochę w zamiarze odszczególnienia tych niewiast, z którymi sam często przebywał.

— Gdzie oni? — spytał poeta.
Wskazał mu miejsce w salonie i dodał:

— Chodźmy do nich, zna pan ją przecież.

— Jeśli to panu przyjemność sprawi, — udał obojętnego, chociaż schlebiali mu to zajęcie jego osobą.

— Przyszedłszy do pani, — zaczął uśmiechnięty pan Jedliński, — z prośbą o rozstrzygnięcie sporu... Pan Szarocki twierdzi, że nie rozumiano jego poematu, a ja przeciwnie... Który z nas ma słuszość?

— Naturalnie pan, — powiedziała przez grzeczność towaryżką, — fantazja pana Szarockiego była oryginalna i efektowna.

— A co, słyszy pan? — tryumfował pan Jedliński.

— Dziękuję pani, — podał rękę Szarocki, — już to samo, że pani zrozumiała jej cechę oryginalności, cieszy mnie bardzo, — przysunął krzesło i usiadł.

— Pan dużo pisuje? — spytała Ryta, ażeby podtrzymać rozmowę.

Nie wiem jak odpowiedzieć... piszę, gdy czuję potrzebę wywołania nagromadzonych wrażeń, ale drukuję tylko pod naciskiem mych przyjaciół.

— Sądziłam, — rzekła pani Wanda, — że ogłoszenie drukiem jest przyjemne.

— Jak dla kogo pani, — podniósł dumnie głowę, — gdybym drukował, to tylko kilka egzemplarzy w bardzo wykwinie wydaniu i tylko dla moich przyjaciół.

— Nie dla publiczności? — zdziwiła się Ryta.

— Publiczność! — uśmiechnął się wzgardliwie, — ta kocha się w gawędach wierszowanych o kowie z kożuszką, o bigosie, o kapuście... Nie rozumie prawdziwej poezji.

— Więc trzeba ją nauczyć, — wmieszał się do rozmowy pan Borowiecki, — wprowadzić ją do rozmowy pan Borowiecki, — wprowadzić czytelnika jeden wiersz nowej szkoły, ale nie rozumiałem...

— Jaki to wiersz? — przerwał mu pan Szarocki, — nie przypomina pan sobie?

— Niedokładnie... coś o kanale...

— O, to już wiem, to jeden z moich znajomych napisał, czy chce pan posłyszeć?

— Bardzo prosimy.

— Zaraz... już mam!

A na kanale błyszcza opale,
A po kanale cień stąpa duży.
Utoż mi winę ze srebrnej kruży
I skrop mi duszę werweną.
Nino! Ireno! Haniu!
Niny są blade, Ireny bledsze!
...Otwórz mi okno! Ach! Powietrze!

— Czy to ten wiersz?

— Tak jest.

(Ciąg dalszy nastąpi).